cros. 12442/2/46
II 684/91/3
Biblioteka UMCS Lublin

PRENUMERATA

CENA 50 GR.

ROK II. NR. 46 (59)

WARSZAWA

SOBOTA

17-XI-1934 R.

PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

JAN MAZURKIEWICZ

MARSZAŁEK JÓZEF PIŁSUDSKI W UNIWERSYTECIE WARSZAWSKIM

pendzla Tadeusza Pruszkowskiego

Przemówienie prof. Jana Mazurkiewicza, b. Rektora Uniwersytetu Warszawskiego, z okazji uroczystości odsłonięcia portretu Marszałka Józefa Piłsudskiego, ufundowanego przez korpus Oficerski Centrum Wyszkolenia Sanitarnego i ofiarowanego Wydziałowi Lekarskiemu Uniwersytetu Warszawskiego w dniu 28.X 1934 r.

W dn. 11 czerwca 1920 r. Rada Wydziału Lekarskiego U. W. powzięła jednomyślną uchwałę, aby zgłosić się do Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego z prośbą o przyjęcie tytułu doktora medycyny honoris causa. Ta uchwała zapadła na mój wniosek, jako ówczesnego dziekana, jednak muszę wyznać, że zasługa powzięcia tej pięknej myśli przypada przezacnej duszy członka naszego Wydziału, mojego imiennika i przyjaciela ś. p. prof. Władysława Mazurkiewicza, tego samego, który w r. 1900 umożliwił politycznemu więźniowi Józefowi Piłsudskiemu ucieczkę ze szpitala św. Mikołaja w Petersburgu.

Dwa były motywy, które skłoniły nas do postawienia tego wniosku.

Pierwszym była nasza chęć udzielenia Mu chociaż w tak bardzo spóźnionym terminie tego doktoratu medycyny, do którego osiągnięcia dążył za swoich lat młodzieńczych. Józef Piłsudski pragnął być lekarzem i po uzyskaniu świadectwa dojrzałości rozpoczął studja medyczne. Nie został lekarzem nigdy, bo wróciwszy z pięcioletniego zesłania na Syberję, oddał pracy społecznej całego siebie, bez reszty; nie umiał ani pragnąć, ani pracować połowicznie.

Gdy za lat młodzieńczych pracował w prosektorjum i w laboratorjach medycznych, nie przypuszczał, że po upływie lat trzydziestu paru będzie nie lekarzem, ale Naczelnikiem Państwa Polskiego.

Jednakże drugim, i głównym motywem naszego wniosku nadania Naczelnikowi Państwa doktorskiego tytułu było oczywiście nie ta Jego najwyższa godność w Państwie, ale nasze głębokie przekonanie, że do tej godności doszedł dzięki tym właściwościom swego charakteru i umysłu, które uczyniły zeń lekarza nie poszczególnych jednostek chorych, ale schorzałego, w niewoli kompromisami znieprawionego ducha Narodu Polskiego. „Zgnuśnieliśmy bezwarunkowo", mówił Piłsudski.

Zadanie było wielkie i trudne. Utrwalało się już w Narodzie Polskim przekonanie o niezwyciężonej mocy sił zaborczych; wbrew wszelkiej oczywistości Piłsudski umiał zachwiać tem przekonaniem. Nie było już w Narodzie Polskim wiary we własne siły; On umiał ją wykrzesać, najpierw w nielicznej garstce swych pierwszych żołnierzy, potem w wielkiej potrzebie przeciwko nawale bolszewickiej.

Przeciwstawił słabości i niemocy siłę i niezłomność woli, sobkostwu wielkie poświęcenie, warcholstwu dyscyplinę żołnierską. Pod Jego wpływem „wyczerpani odzyskiwali siły, zrozpaczeni zaczynali znów wierzyć", mówi Sieroszewski. Był uosobieniem szlachetności i ofiarności, uosobieniem „przedziwnego spokoju i równowagi w pracy, bez względu na przeciwności".

[illegible] swą władzę. w swoim pierwszym rozkazie do wojska w Wolnej Polsce ślubował Wódz Naczelny „życie i krew swoją poświęcić na rzecz dobra Ojczyzny i szczęścia Jej obywateli". Całe Jego życie świadczy, że ślubowania dopełnił.

Są w Polsce i dzisiaj jeszcze ludzie, którzy się skarżą, że po zdobyciu niepodległości brak jest teraz wielkiego hasła, wielkiej idei, któraby mogła ożywiać i wiązać wszystkich obywateli Rzeczypospolitej. Są to ludzie małego serca, ludzie, których niczego nie nauczyła historja dawnej Rzeczypospolitej i wiekowej niewoli; ludzie tak ciasnego umysłu, że nie pojmują dotąd tej prostej prawdy, że chociaż „dzieci naszej ziemi ujrzały słońce swobody w całym jej blasku", jak pisał Piłsudski do swojego wojska, to jednak zadanie nasze nie jest i nigdy nie będzie całkowicie zakończone.

Tylko niemowlę żyje wyłącznie chwilą bieżącą. Człowiek dojrzały różni się od niemowlęcia tem, że umie przewidywać, umie myśleć o przyszłości. Musimy dzisiaj myśleć o tem, aby słońce swobody, które nam zaświeciło, nie zgasło dla nas jutro. Człowiek rozsądny nie pojmie nigdy, czemu hasło utrwalania i zachowania swobody miałoby mieć mniejszą wartość, aniżeli hasło jej zdobywania. Chociaż innego rodzaju, ale równie wielki wysiłek zbiorowy, równie wielka praca i poświęcenie są konieczne dla rozwoju tego, co zostało zdobyte, jeżeli krew przelana niema pójść namarne.

Tekst dyplomu doktorskiego z dn. 2 maja 1921 r. podaje, że zostaje on wydany mężowi znakomitemu, Józefowi Piłsudskiemu, „który studja medyczne, ongiś rozpoczęte, sam przerwał, aby tem łacniej uleczyć serca Polaków, niewolą zgnębione". Jeszcze widocznie nie wszystkie serca polskie zostały uleczone, skoro są takie, które się skarżą na brak wzniosłego hasła. A przecież, obok obowiązków względem Ojczyzny i Jej obywateli, mamy jeszcze obowiązki i względem innych ludzi, mamy obowiązek szerzenia idei braterstwa powszechnego, idei „słońca swobody" dla wszystkich.

Rektor J. K. Kochanowski w dniu wręczenia [illegible] ktorskiego, witał Go jako „uwielbionego bohatera Narodu, szermierza i chorążego świętego Jego dostojeństwa w rodzinie ludów", podkreślając, że „oczy nasze i oczy nieuprzedzonego świata zwrócone są dziś na Polskę z podziwem: śledzą dziejowe Jej wawrzyny, usiłując wejrzeć poprzez ich sploty wgłąb Jej duszy, pojąć Ją i zrozumieć, aby wreszcie ustalić dla niej ponownie — po okresie niewoli — miejsce właściwe w świątyni cywilizacji". Komu wzniosłość tego zadania nie wystarcza?

Dziwna to postać, ta postać Józefa Piłsudskiego — człowieka Woli, Pracy realnej, Czynu, Żołnierza, — a przecież jakgdyby postać nierealna, jakgdyby wzięta nie z tego życia, a raczej z poezji wielkich Wieszczów polskich, którzy także byli — na swój sposób — lekarzami skołatanej duszy Narodu Polskiego. Godni pożałowania są ci, którzy nie mogą zrozumieć ani tych Wieszczów, ani „Męża znakomitego", który ich pragnienia realizował.

Przyjęcie profesorów U. W. przez Marszałka w Belwederze dn. 2.V 1921 r. Od lewej siedzą: pp. prof. Petrażycki, Kochanowski, Marsz. Piłsudski, prof. Mazurkiewicz, Michałowicz i Lutostański; stoją w środku: pp. prof. Przychocki (w mundurze) i Antoniewicz

TREŚĆ:

JULJUSZ KADEN BANDROWSKI
MĄŻ STANU A POETA
WOJCIECH BĄK
POEZJE:
ZWYCIĘSTWO JESIENNE
UCIECZKA PRZECHODNIU,
POWIEDZ...
NIEDZIELNY WIERSZ
JÓZEF UJEJSKI
„PAN TADEUSZ"
STANIS[illegible]
PIGO[illegible]
NOWA POS[illegible]
ESTETYCZ[illegible]
WOJSŁAW MOLÉ
KULTURA I TRADYCJA
JAN MAZURKIEWICZ
MARSZAŁEK PIŁSUDSKI W UNIWERSYTECIE WARSZAWSKIM
KRESY WOŁAJĄ O IZBĘ KULTURY
GENERAŁ KUROKI POLAKIEM
RECENZJE:
ŻÓŁTY DOM
KRONIKA NOTATKI
SPRAWOZDANIA

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

MĄŻ STANU A POETA

(Fragment mowy wygłoszonej na IV Kongresie im. Volty w Królewskiej Akademji Włoskiej w Rzymie)

Wielce Szanowni Panowie!

Pozwólcie, Szanowni Panowie, że zacznę od niedyskrecji: trzymam tu oto w ręku mój referat pod tyt. „Teatr Państwowy w Polsce", powinienem odczytać przed Wami tę pracę i na tem rola moja na tej trybunie powinnaby się skończyć. Pozwólcie, że zaniecham lektury i zacznę od ekskuzy. Referat, który trzymam w ręku zawiera z pewnością kilka, kilkanaście danych, może nawet dość ścisłych, sumiennie wybranych, zawiera może kilka tak zwanych linij przewodnich, nie stoi jednak w żadnym stosunku do pracy, którą tu wspólnie pod auspicjami Królewskiej Akabistej akademickiej senności.

Referat mój sporządziłem tak właśnie a nie inaczej ze względu na auspicja Szanownej Akademji. Wyobrażałem sobie, że będziemy tu pracowali, jak się zazwyczaj pracuje w Akademjach, a więc przyglądając się roztropnie i powoli każdej sprawie i niemal zdaniu każdemu, a więc każde słowo ważąc przedmiotowo, powoli i — darujcie — sam przecież jestem sekretarzem Akademji Literatury, — ważąc każde nasze określenie ze swoistym wdziękiem bezosobistej akademickiej senności.

Na szczęście praca nasza tutejsza — mimo, iż wedle mego przekonania osiągnęła poziom bardzo wysoki, — nie posiadała wyżej wspomnianych, szanownych cech pracy akademickiej. Dzięki ostrym spotkaniom ideologicznym pomiędzy Marinettim a Bontempellim, dzięki kontrowersji zasadniczej, jaką wywołał architekturalny projekt nowego współczesnego teatru na 20,000 widzów, przedstawiony nam tu przez kolegę Ciocca (pamiętacie Panowie przecież istotę tej kontrowersji, — czy sztuka stwarza dla siebie swój nowy dom, czy też nowy dom pobudzi nową sztukę), a już szczególnie dzięki ostremu spotkaniu, jakie wynikło pomiędzy Marinettim a kolegami Francuzami z racji płomiennych patrio- [illegible] ów Marinettiego a pacyfisty- [illegible] eń Romainsa i Bernarda, — [illegible] dawno w tej sali bezosobisią [illegible] ademicką. Przeszliśmy na te- [illegible] h przeżyć i doznań, namiętnych [illegible] gorących sporów.

[illegible] właśnie gorącej, jaskrawej perspek- [illegible] osobistej szczerości, związanej ze spra- [illegible] mi, które każdego z nas muszą głęboko [illegible] rzejmować, referat mój zda mi się małoważnym i doprawdy, nie mam najmniejszej ochoty odczytywać go tu przed Wami. Jest przecież wydrukowany dzięki uprzejmemu staraniu Królewskiej Akadem i Włoskiej, macie go tu pod ręką. Sądzę, że szkodaby było tracić czas na rzecz gotową już i niejako zamkniętą, gdy otwarła się przed nami nowa sprawa, głębiej i boleśniej od gotowych już i zamkniętych wspólnie tu postawiona.

Pozwólcie więc, Panowie, że mając wolny wybór, wybiorę, jak mi dyktuje serce, jak mi dyktuje cała namiętność mojego życia i pracy. To znaczy, że pozostawiając na stronie zagadnienia wyników osiągniętych już w Polsce na terenie działalności, związanej z życiem teatru, przyłączę się i wdam całą duszą w wasz spór namiętny, gwałtowny, dotyczący tła społecznego i narodowego, na jakiem rozwija się teatr współczesny w Europie.

Ponieważ poprzednicy moi na tej trybunie wspierali swe argumenty i wywody najczulszą treścią przeżyć osobistych, wybaczcie mi, że i ja od takich właśnie przeżyć osobistych sprawę moją tu rozpocznę.

Nie dziwi chyba żadnego z panów kolegów, że wybierając się na ten kongres do Rzymu, pragnąłem pożegnać się z moimi synami. Cóż powiecie?! Chłopcy moi, wróciwszy ze szkoły na objad, widząc rozstawione wszędzie walizki, nietylko nie zwracają uwagi na nasze (rodziców) przygotowania do podróży, lecz wślizgnąwszy się pośpiesznie do swego pokoju, wybiegają stamtąd przebrani w swoje harcerskie mundurki i oświadczają mi, iż żal im bardzo, nie będą jednak mogli ani zjeść z nami objadu, ani też odprowadzić nas na dworzec. Mają dziś właśnie do spełnienia swe obowiązki harcerskie.

— No dobrze, — staram się tłomaczyć, — ale my wyjeżdżamy do Włoch, jedzie się kilkadziesiąt godzin, wy i my będziemy od siebie teraz daleko, chyba przez dwa tygodnie.

— Nie bądź dziecinny, ojcze — odpowiada mi jeden z chłopców, — rozumiesz chyba przecie, co znaczy słowo obowiązek!

— Rozumiem, co znaczy obowiązek, kiedy jednak rodzice wyjeżdżają...

Okazuje się, że wobec harcerskiego obowiązku wyjazd rodziców wiele znaczyć nie może; że w obowiązku tym mieszczą się ćwiczenia w terenie i strzelanie do celu i — tyś też był na wojnie w Brygadzie Piłsudskiego! Czy mógł się mieszać do tego twój ojciec?! Nie bądź więc teraz sam dziecinny.

Jeden, dwa skoki po pokoju, jedno śpieszne objęcie za szyję i już ich niema. Przypomniałem sobie, proszę Panów Kolegów, incydent ten w Rzymie, w pierwszy dzień uroczystego otwarcia IV-go Kongresu Volty pod auspicjami Królewskiej Akademji Waszej.

Pamiętacie Panowie to otwarcie: zbieramy się w pięknej sali Juljusza Cezara na Kapitolu. Kongres inaugurują pięknemi mowami znakomity Pirandello i prześwietny Maeterlinck. Popołudniu koledzy włoscy pokazują nam Rzym. Jesteśmy na wspaniałym stadjonie Mussoliniego.

Widzę nas tam, alež dotąd mam ten obraz w oczach: nad murawą boiska, między postaciami rzeźbionych w marmurze atletów grupa dostojnych mężów już siwiejących, siwych, ciemno odziana. Nazwisko w nazwisko, człowiek w człowieka, sława, elita, sól dramaturgicznej myśli europejskiej. Rzekłbyś, u brzegu murawy tego pięknego stadjonu mroczna wyspa refleksji, odczucia i powagi.

A z za krańców stadjonu, — musieliście to byli przecież słyszeć panowie, — dolatuje, jakgdyby ostre, twarde jakieś tempo, wybijane przez osobliwie bystry metronom. To strzały, proszę panów, to były karabinowe strzały włoskiej młodzieży Mussoliniego, która, jak mój syn w dzień mego wyjazdu do Rzymu, miała tu swój dzień nauki strzelania.

Przywodzę, Panowie Koledzy, na waszą pamięć ten obraz wyjątkowy a tak zarazem codzienny, powszedni na całym świecie i tu we Włoszech i w Polsce i w Sowietach, w całej Europie: mroczna grupa myślicieli, intelektualistów, humanistów nad brzegiem toczącego się życia współczesnego zamyślona, wzniośle zadumana — i ów rytm ostry, szybki, rytm gotowości, strzału, obrony, organizacji, pogotowia czynu ostatecznego, czynu walki.

Przywodzę na waszą pamięć ten obraz, daje nam on bowiem odrazu proste, jedyne w swoim rodzaju zestawienie dwóch elementów, raczej dwóch sił, które muszą się składać na wyprowadzenie pożądanej przez nas syntezy. Owe dwie siły, to człowiek ducha, pióra, poeta, pogrążony w zadumie nad brzegiem nurtów codziennego życia i ów drugi, mówiący rytmem praktycznego działania, nakoniec rytmem strzałów, mąż zbiorowego życia, mąż stanu.

Zagadnienie teatru państwowego, to przedewszystkiem analiza tych dwóch sił, dwóch czynników, które złożyć się mają na wytworzenie syntezy; syntezy, jaka ma wyniknąć z pracy człowieka pióra, z pracy poety, połączonej, uwzględnionej, uznanej i przyjętej przez pracę człowieka czynu, — męża stanu.

Wczoraj z okazji kontrowersji, jaka wybuchła pomiędzy kolegami francuzami i Marinettim, koledzy francuzi twierdzili, że tu w tej sali nie mogą, jako zwolennicy innego, niż tutejszy, systemu politycznego, odpowiedzieć Marinettiemu, nie mieliby bowiem dla swych odpowiedzi dostatecznej wolności słowa.

Nie podzielam mniemania kolegów francuzów. Nie słyszałem, nie odczułem, aby w czasie obrad naszych ktokolwiek kogokolwiek tu krępował. Wierzę, iż w murach tej Akademji panuje całkowita wolność słowa a szacunek dla murów tej instytucji, oraz dla zebranych tu kolegów narzuca mi szczerość jaknajbardziej otwartą.

Widzieliśmy ich przed chwilą, przeciwstawionych sobie pobieżnie: poeta, zamyślony u skraju czynnego życia, mąż stanu, odpowiadający z głębi chaosu uczynków głosem strzałów karabinowych. Zaprawdę, tak jest przecie, zawsze było i chyba zawsze będzie: poeta myśli, rozważa, odczuwa najsubtelniej, pisze, tworzy wzniosłe perspektywy uczuć, otwiera świetlane drogi przyszłości, — mąż stanu organizuje, gromadzi środki, — jak chce Marinetti, — egzaltuje poczucie szybkości, skupiając to wszystko ostatecznie w zbrojnej sile narodu.

Jakże sprawiają swoją pracę?

Poeta posługuje się — nie wstydźmy się zacząć od skromnych realjów fachu, — piórem, atramentem, papierem. To jego środki techniczne. Pozwalają mu one utrwalać słowo, które znów układa w zdania, czy okresy. Wybór tych słów zależy całkowicie od twórczej woli artysty; przez szukanie coraz dokładniejszych wyrażeń dla określenia rzeczy, czy spraw, czy doznań, dochodzi poeta do coraz większej ścisłości w określaniu stanów uczucia i marzenia.

Uczucie i marzenie! Poeta posługując się temi właśnie lotnemi wielce, bo przecież utwierdzonemi w emotywności środkami analizy, idzie wgłąb coraz dalej i dalej, by odnaleźć człowieka wymarzonego a więc wolnego, obranego już, że tak powiem, z kory społecznej, stadnej, człowieka w nieprzemijającej, wiecznej, a zarazem jedynej, niepowtarzalnej, osobistej istocie.

My, poeci, na drogach tej właśnie pracy naszej jesteśmy zupełnie wolni. Możemy, w myśl naszych upodobań, przekreślać napisane słowa, jak się nam tylko podoba. Możemy przechodzić do porządku dziennego, co więcej, możemy odmawiać praw życia tym dziełom naszym, które w trakcie naszego rozwoju uznaliśmy za wadliwe, czy zgoła niedojrzałe. Wolni w tworzywie naszem, szukamy wolności dla naszego wymarzonego bohatera i biada temu zpośród nas, który tę wymarzoną wolność bohatera poświęci celom praktycznym, uznanym, obowiązującym w zrzeszeniu, w gromadzie ludzkiej.

Powtarzam: wolni, nieskrępowani nawet własnem słowem, nie znający żadnych obowiązków choćby nawet wobec drogi już przez nas przebieżonej, szukamy wolności dla wyśnionego przez nas człowieka.

Mąż stanu, proszę Szanownych Kolegów, tworzy, pisze swoją historję, podobnie jak my swoją piszemy. Ale jego pióro — to miecz. Jego atrament — to krew ludzka. Ale papier, na którym pisze, — to żywe ciało Ojczyzny. A jego słowa — to żywi ludzie, z których on, mąż stanu, ma ułożyć porządek i rytm stylu swojej Ojczyzny w jej pracach i w jej walkach.

Gdy mężowi stanu, — jak nam pośród naszej pracy, wypadnie przekreślać, — żywych ludzi przekreśla... Gdy jemu, — jak to się nam przydarza, — wypadłoby zaprzeczyć dziełom drogi już przemierzonej, — zwalą mu się na głowę cięższe od młyńskich kamieni skutki niekonsekwencyj, skutki, wołające o pomstę do nieba głosem całej gromady.

Zauważcie tedy panowie: gdy my w lotnym, od nas tylko zależnym materjale słowa pracujemy, on działa w żywem życiu, w krwi ludzkiej. Gdy my wolni, on wszelką doczesnością po stokroć skrępowany, niewolnik następstw nieuniknionych zawsze. Gdy my ku marzeniu, on w swem tworzywie ku rzeczywistości bieżącej obrócony; gdy my zupełnej wolności, on szukający najkorzystniejszego warunku dla gromady, poręczonego wszystkiemi warunkami bieżącej współczesności.

Szukający najkorzystniejszego warunku dla gromady... Dla tej jedności, której mąż stanu wszystko inne poświęci, dla tej jedności zaiste względnej, która jednak dla męża stanu musi się stać bezwzględną i wieczystą. Owa gromada, owa jedność — to Państwo.

Jakaż tu, — pytam was, jeśli mój pogląd na te sprawy podzielacie, — jakaż tu może wynikać współpraca między poetą a mężem stanu? Wystarczy przecież, — nie wchodząc nawet w delikatniejsze subtelności, — wystarczy spojrzeć na stereotypowe fazy przemijania ludzkiego, by sprawdzić, jak inaczej rozumie je poeta, a znów jak inaczej wykorzystuje je mąż stanu.

Czemże jest młodość dla poety? Młodość to wszystkie sny i wszystkie chyba szaleństwa i wyjście poza normę wszelką i jedyna śmiała próba, w rozmachu szalonym dokonywana już chyba nieomal poza brzegami praktycznej rzeczywistości: próba tworzenia rzeczywistości i n n e j, zawsze po stokroć wyższej, od wszystkiego, co dotąd udało się stworzyć rodzajowi ludzkiemu na ziemi.

A mąż stanu wobec młodości? Ależ panowie, młodość dla niego, to siła: to bataljony najcelniej strzelające, najszybsze w marszu, to przy kierownicach wszelkiej mechaniki ręka najpewniejsza, to robotnicy, pracujący najwydatniej, to siła, to budowa i nawet, gdy tego zajdzie potrzeba, nad całą gromadą straż najsurowsza, wszelkiego względu pozbawiona.

Wiek dojrzały? Dla nas, panowie, w naszem natchnionem opisaniu wiek dojrzały to miłość pełna, gorąca, zaplątana, czy rozwiązana, mierząca się swym porywem potężnym z całą powagą życia. A znów jeżeli praca, to praca u szczytu swego najbardziej samowolna, roztrącająca wszelkie ustanowione normy ładu, oraz porządku zbiorowego.

W ujęciu męża stanu, — wiek dojrzały to kartki wyborcze, te krople woli naszej, mające stworzyć nietykalną wagę spraw i postanowień; oraz nasze podatki, z których układa się potrzebna dla ciała państwowego tkanka cennego zapasu energji, rzekłbym trywjalnie, — tkanka ochronnego tłuszczu.

Ostatni okres — starość: poeta marzy tu o wolności ostatniej, zdobytej za cenę wszystkich klęsk i rozczarowań. Poeta marzy tu o jakiemś błądzeniu już prawie po skrajach nicości. Obywatel marzy tu o swej upragnionej, bogobojnej sybarytystycznej anarchji, zdobytej za cenę oszczędności, gromadzonych przez całe życie.

A czemże dla męża stanu ta oszczędność, z zawodów wynikła, czy nagromadzona w kapitale? Mąż stanu popycha te zapasy, zasoby, wprawia je w ruch dla sprawy dalszego swego budownictwa. Ma nas w starości naszej cichych i wiernych, jakże to dobrze dla niego, że wytrawieni jesteśmy rozczarowaniem! Materjalna zaś oszczędność nasza służy mężowi stanu do jeszcze silniejszego, zasobniejszego ujęcia dzieł organizacji.

Czyż z powyższego nie wynikałoby, że mężowi stanu może się wydać człowiek pióra, poeta, marzycielem, dezorganizatorem, burzycielem porządku życia praktycznego?

Czyż z powyższego nie wynikałoby również, że poecie mąż stanu mógłby się zdać ciężkiem bezwzględnem uosobieniem norm powszedniości, dławiących wszelki rozmach marzenia i swobody?!

Zaiste, znaleźliśmy się chyba, — o ile analizę dyscyplin tych, przeprowadzoną powyżej uznamy za słuszną, — w obliczu antinomji zasadniczej: poeta wyświetla drogi i formy najskrytsze, rzekłbym najczulsze formy wolności poszczególnego człowieka. Mąż stanu, niwelując poszczególnego człowieka do normy potrzebnej, rzekomo koniecznej, czy właściwej, nakłada na wspólnotę powszechne, równomiernie wiążące pęta.

Jak zawsze jednak i wszędzie w życiu, tak i w tej przedziwnej okoliczności: nie ten ma wyjść pierwszy na spotkanie, któremu wszelka wolność poruszeń przysługuje, lecz pobieży na spotkanie ten właśnie, którego obrazują wszystkie ciężary i obowiązki. To mąż stanu, niewolnik najcięższych prac doczesnych, on, po stokroć związany wszelakim paragrafem, zapragnie w tej dziedzinie twórczości ducha nacieszyć się odpoczynkiem i przybraną na siebie wdzięcznie rolą zależności od twórcy słowa, poety, dramaturga. I im większy będzie mąż stanu, tem skwapliwiej słuchać będzie lotnych słów poety. Ów bowiem silny mąż stanu wie i słusznie odczuwa, że marzenie poety przydaje skrzydeł zarówno narodowi rządzonemu, jak i temu niewolnikowi najcięższych obowiązków, który narodem rządzi, to jest mężowi stanu.

Wynika z powyższego, że sztuka, kultura, scena, to jedyna dziedzina wolności wielkich mężów stanu, dziedzina, w której stwarzając jaknajlepsze warunki, sami są nareszcie rządzeni twórczem słowem poety.

NA SCENACH STOLICY

Teatr Kameralny: „Sygnały", sztuka w 4-ch aktach Ewy Szelburg-Zarembiny. Reżyserja — Karol Adwentowicz, muzyka — Szymon Waljewski, tańce — Irena Prusicka, dekoracje — Jan Golus.

Sztukę Szelburg Zarembiny możnaby zgruba zaliczyć do gatunku literatury tendencyjnej, pisanej pod dyktando tezy. Stąd wszystkie jej wady, a więc retoryczna programowość, naginanie faktów do narzuconej idei i t. p.

Z drugiej jednak strony autorka mogłaby się obronić prostem stwierdzeniem, że cała jej wizja sceniczna jest odbiciem faktów realnych i niezbitych, jak nędza, głód, bezrobocie, dramat maszynizacji, wyzysk pracy przez kapitał i t. d. Ale właśnie w takiej obronie tkwiłby najwymowniejszy argument krytyczny przeciwko tendencyjności dzieła. Winą utalentowanej powieściopisarki jest to, że jej wizja nie wybiega poza dziejącą się rzeczywistość, że wlecze się za nią jak lament, niewątpliwie szlachetny, lecz bezsilny i jałowy. Autorka potwierdza tylko to, co widzi. Nie czuje się, że chce widzieć więcej.

Poetyczność jej utworu nie jest wyrazem przezwyciężenia znanych wszystkim zdarzeń życia, lecz raczej literacką okrasą, prostolinijnem poetyzowaniem brutalnej formy bytu. Socjalne objawy współczesności, które posłużyły Szelburg Zarembinie jako materjał kompozycji, a więc zdradzieckie dla doli ludzkiej postępy techniki, które z człowieka-twórcy czynią niewolnika tworu, a więc prowokacyjne dla głodu mas niszczenie kawy, bawełny, a więc posługiwanie się sztuką jak narkozą na rosnące uczucie krzywdy społecznej i buntu, i t. p. zbrodnie kapitału wobec świata pracy — wszystkie te objawy — malują tylko zewnętrzną stronę tragedji współczesnej.

Ale poza tragedją nagich faktów jest jeszcze tragizm wewnętrzny, tragizm ukrytego sensu tych wszystkich zjawisk, tragizm, któremu nietylko parjasi ale i mocarze tego świata ulegają — a więc jakieś ponadfaktyczne irracjonalne prawo, rządzące życiem a tkwiące w ludzkiej naturze, w ludzkiej woli, w djalektyce dziejów. Temat wagą swoją domagał się głębszego, wszechstronniejszego wejrzenia. Humanitarna postawa, choćby tak szczera i uczciwa, jak ta, którą wyczuwa się u autorki „Sygnałów", nie wystarcza dla opanowania podjętego zagadnienia. Brak twórczego spojrzenia na splot tych dramatycznych spraw rodzi mimowoli wrażenie, że źródłem sztuki był dość „bezpieczny" sentymentalizm, roniący przepisowe łzy nad ludzkiem nieszczęściem — ale czyż postawa taka może nieszczęściu temu wystarczyć? Czy artystycznie załatwia sprawę?

Mimo te zarzuty sztuka Szelburg-Zarembiny zawiera momenty pełne szlachetnej ambicji i uniesienia lirycznego — na marginesie dramatycznej akcji.

Teatr Kameralny, mimo szczupłych możliwości inscenizacyjnych, zdobył się na duży wysiłek w wystawieniu utworu, którego poszczególne obrazy wymagały dużej sceny i kosztownych dekoracyj. Reżyserji, naogół starannej, możnaby zarzucić, że nie umiała się zdecydować na jednolity styl, mieszając niedość fortunnie ekspresję realistyczną z symboliczną. Sztukę należało wystylizować w formie szopki; dałoby to całości więcej artystycznej prawdy.

Z ról ważniejszych wybili się: p. Grywińska, artystka inteligentna i opanowana, doskonały w masce Adwentowicz, pozatem Maliszewski, Horecka, Fidler — a przedewszystkiem silna w wyrazie, geście i postawie Strońska. **rtm.**

■

Teatr Aktora: Madame Sans-Gêne, komedja w 3 aktach z prologiem Wiktoryna Sardou i Emila Moreau. Przekład i reżyserja Karola Bendy, dekoracje Władysława Lama.

Cały komizm tej sztuki, wszystkie efekty jej, będące przyczyną tak długiego powodzenia na deskach teatrów całego świata, mieszczą się w upartej a bezustannej konfrontacji przeszłości z teraźniejszością, nizin z wyżynami, proletarjatu ze sferami, odwagi z tchórzostwem, cnoty ze zdradą, głupoty z przebiegłością. To wyliczenie winno starczyć dla przykładu. Nie wątpimy, że możnaby je o wiele dalej poprowadzić: wgłąb i wszerz. Oczywiście, że przeszłość i teraźniejszość dominują w tym szeregu wartości, tem możemy sobie wytłumaczyć istnienie prologu, który powinien być bardziej może wizyjnie potraktowany przez autorów. W swej utrwalonej konstrukcji jest właściwie normalnym aktem naturalistycznego teatru. Zresztą kto wie czy pomysłowa reżyserja, rozporządzająca niewspółmiernie większemi środkami technicznemi aniżeli Teatr Aktora, nie wydobyłaby z tego prologu momentów innych, któreby odcięły go od właściwych aktów w wyrazie scenicznym i symbolicznym znaczeniu gatunkowym.

Sztuka posiada wiele akcentów patrjotycznych, nawet bardzo wzniosłych, ale robiona przez słynnych majstrów francuskich nie wpada ani na chwilę w zachwyty nad rodzimością, przerzucając się natychmiast ze śliskiej drogi w nowe partje charakterystyczne czy komedjowe. Trzeba jednak podziwiać piekielną zręczność tych komedjopisarzy, którzy w stosunkowo krótkiej sztuce potrafili zagrać na tak bogatej gamie bądź co bądź doniosłych zagadnień: władzy, bogactwa, karjery, miłości ojczyzny, wierności małżeńskiej, służalstwa i t. d. i t. d. W całości komedja mieni się blaskami przedziwnie bogatemi i różnorodnemi.

Wobec skromnych możliwości technicznych sceny, właściwie żadnych, oraz zupełnie nieudanych dekoracyj, cały ciężar sztuki przeniósł się na grę aktorów, coby zresztą odpowiadało samej nazwie teatru. Najlepszy z całego zespołu był p. Łuszczewski, jednolita i świetnie postawiona rola. Jaracz i Zimińska w ramach swej klasy aktorskiej nie pokazali nic szczególnego, dając stereotypową charakterystykę tak dobrze znajomych widzowi postaci Napoleona i księżnej Gdańskej. Maska cesarza znakomita, Zimińska trochę szarżująca. Reżyserja zupełnie nikła. **S.**

■

Teatr Ateneum: Mecz małżeński, komedja w 3 aktach W. Lichtenberga. W przekładzie dr. J. Wasserbergera. Reżyserja K. Opalińskiego, wnętrze K. Gajewskiego

Tematem „Meczu małżeńskiego" jest rozgrywka miłosna pomiędzy mężem i żoną. Inicjatorem wszelkich ofenzywnych poczynań jest mąż. Żona stosuje jedynie świetną defenzywę i wygrywa. Odwieczny problem pożycia kobiety i mężczyzny pod jednym dachem autor rozmieścił na kompletnej niemożności zrozumienia pewnych spraw, zresztą pozornie jasnych, przez męża, na jego ciasnocie umysłowej z jednej strony i na wszechobejmującej wyrozumiałości żony z drugiej. Giętki, wrażliwy umysł żony oraz potężna wola w opanowaniu uczuć odnoszą zwycięstwo nad histerycznym charakterem męża. Jest dość ciekawą rzeczą, że Bob Sturm przypomina nieco swą dziwaczną charakterystyką postacie St. I. Witkiewicza. Chwilami wydaje się poprostu postacią arealną, laboratoryjnym wytworem literackim. To wszystko podkreśla jeszcze szczególnie silna skłonność do ekshibicjonizmu. W koncepcji zwykłej komedji rozrywkowej odważne intelektualizowanie swych namiętności i poczynań erotycznych stwarza szereg pierwszorzędnych sytuacyj scenicznych, których autor nie omieszkał stuprocentowo wykorzystać. Do tego dołącza się następnie i ogromna prawdomówność Stopperla, środkowego napastnika wiedeńskiego „Rapidu". Bądźmy szczerzy i dodajmy, że autor ułatwił sobie zadanie schematyzując postacie. Literat był niezdolny do niczego, t. j. do żadnego konkretnego czynu, a sportowiec zupełnie ograniczony umysłowo ale i on tylko w 1-ym akcie jest lekkim idjotą, w następnym jest już tylko człowiekiem prostym i bezpośrednim. Mówi o swoich nogach ale jako intelektualista.

Tę zgrabnie zbudowaną i konsekwentnie przeprowadzoną komedję główni wykonawcy zagrali bardzo równo, subtelnie i w tempie. Literata Boba Szturma zagrał p. Biegański ze swobodą, prowadząc djalog wartko, akcentując właściwie, harmonijnie a gestami uzupełniając słowo wypowiadane. Panie: Piaskowska jako jego żona Hanna i Parysiewicz jako Marlena, jego przyjaciółka, równie odpowiedziały trudnemu zadaniu kulturalnego prowadzenia djalogu. Stopperl w ujęciu p. Tokarskiego grał nie tylko głosem i twarzą jak na aktora przystało, ale i ciałem, co znowu godne było środkowego napastnika.

KRESY WOŁAJĄ O IZBĘ KULTURY!

Wileńska Rada Zrzeszeń Artystycznych zwołała na 1 i 2 listopada do Wilna Zjazd regjonalnych działaczy kulturalnych, aby przygotować fundamenty pod Izbę Kultury; instytucję scalającą życie kulturalne t. zw. prowincji. Zjazdowi przewodniczył p. prorektor Czyżewski, profesor filozofji w U. S. B. Znakomity referat p. Dobaczewskiej, powieściopisarki, postawił sprawę śmiało i nawet wyzywająco ze swojem: nie będziemy... nie będziemy... Wyzwolenie się inteligencji spod sugestji dotychczasowego hasła „pracy u podstaw". „Nie będziemy się zajmowali uprawą lnu". Minęła ideologja Orzeszkowej, ideologja „schodzenia w lud", gdyż normalna oświata stała się zadaniem własnego państwa. Dwutorowość takiej pracy oświatowej jest dziś niepotrzebna. Inteligencja pragnie się sama oświecić, zaspokoić własne potrzeby kulturalne, a dopiero wtedy, a więc pośrednio, stanie się ośrodkiem promieniującym kulturę dla innych.

Ta myśl dominowała na zjeździe, oświetlano ją z różnych stron. Nie brakło bowiem zwolenników i zwłaszcza zwolenniczek dawnego, szczytnego ideału „pracy organicznej"; ale uznawano, że pracę nad sobą można bardzo dob[illegible]czyć z pracą nad drugimi, że obie się [illegible]ełniają; pierwsza może być przesłanką drugiej, a druga tematem pierwszej. Padły słowa o „aktywizacji inteligencji" — idea nowoczesna, której nie było w dawnym repertuarze pozytywistycznym.

Pozatem, pierwszego dnia zjazdu, szeroko omówiono stan dotychczasowy w licznych sprawozdaniach. Były referaty o znaczeniu ogólnem p. Adamusa: Praca naukowa w ośrodkach nieuniwersyteckich. Zalewskiego: Rozwój kultury muzycznej wśród szerokich warstw społecznych; p. Łysakowskiego, dyrektora bibljoteki uniwersyteckiej: Książka na prowincji; p. Schrammówny: W sprawie odbudowy sztuki ludowej. Nastąpiły szczegółowe referaty z różnych środowisk. Panie Rutkowska (Troki) i De Lacy (Grodno) nakreśliły smutny obraz osamotnienia inteligencji na prowincji, pp. Żmigrodzki (Nowogródek), Oberleitner (Święciany), Rączaszek (Białystok) przytaczali szczegóły i cyfry odnoszące się do działalności kulturalnej w swoich powiatach oraz do braków i przeszkód, na jakie ta działalność napotyka. Po referatach wywiązała się żywa dyskusja.

Na drugi dzień jeszcze jeden odczyt ogólnej natury p. Rączaszka: Urbanizacja jako problem kultury w Polsce. Prelegent mówi o wyjałowieniu inteligencji na prowincji; inteligent gorzknieje, przybiera postawę negacji; młodzież lepsza ucieka do dużych miasta, gdzie wskutek tego następuje zagęszczenie sił fachowych. Inteligent traktuje swój pobyt „na prowincji" jako przejściowy. Z państwowego punktu widzenia ten stan rzeczy, pozbawiony twórczej dynamiki, jest szkodliwy. Często zdarza się, że miejscowy aptekarz, rejent, lekarz, ksiądz, są pochodzenia ziemiańskiego i dlatego nie interesują się sprawami miasta. Danja zatrudnia na roli trzy razy mniej ludzi niż Polska, gdy u nas praca rolnika jest mało wydajna i wiele energji na wsi marnuje się. Gdy zachód stawia sobie problem dezurbanizacji, my przeciwnie, musimy dążyć do urbanizacji.

Głównym punktem obrad Zjazdu był referat p. konserwatora Lorentza z projektem Izby Kultury *). Byłby to odpowiednik dzisiejszych izb gospodarczych; oczywiście instytucja samorządowa, ale nie miałaby charakteru urzędu, ani organizacji społecznej; byłaby oparta o fundusze publiczne i miałaby w pewnym zakresie prawo egzekutywy. Jej zadania: 1) inicjowanie odczytów, audycyj, koncertów, wystaw, przedstawień teatralnych i t. p.; 2) pomoc w organizowaniu powszechnych wykładów uniwersyteckich; 3) organizowanie specjalnych kursów i studjów; 4) pomoc w tworzeniu warsztatów pracy naukowej na prowincji; 5) prowadzenie poradni bibljograficznej oraz informacje w sprawach naukowych i artystycznych; 6) nawiązywanie kontaktu między pracownikami w poszczególnych dziedzinach; 7) umożliwianie tańszego nabywania książek; 8) pomoc w poszukiwaniach archiwalnych i archeologicznych; 9) organizowanie zjazdów. Izba sama nie byłaby instytucją naukową ani artystyczną, gdyż takie już istnieją (Ormuz, Zw. Zaw. Lit.) **). Miałaby stałe delegatury po różnych ośrodkach. Jej własny aparat administracyjny byłby mały, fundusze szłyby głównie na zasilenie ruchu kulturalnego wprost.

Oczywiście do założenia takiej Izby potrzebna jest ustawa. To też po jednomyślnem uchwaleniu projektu Izby powołano komitet wykonawczy, który ma opracować jej statut i przedstawić odpowiedni projekt ustawodawczy Ministerstwu. Na czele komitetu stoi rektor U. S. B., prof. Staniewicz.

W dyskusji p. Mejerowa ostrzega przed dyletantyzmem. P. Dracz: nie należy budzić nowych potrzeb, lecz zaspokajać już rozbudzone. P. De Lacy pragnie także programu minimalnego na dziś. P. Perl z Oszmiany wraca do tej kwestji, że jesteśmy jeszcze zasugestjonowani hasłem oświaty masowej. P. Rączaszkowa mówi na to, że jednak praca oświatowa i kulturalna w ostatniej instancji pokrywają się z sobą; zwłaszcza w najmniejszych ośrodkach łączą się jak linje w piątce rzymskiej. Rektor Staniewicz ostrzega przed gubieniem się na manowcach organizacji; prosi o nadsyłanie z prowincji tematów, któreby dopingowały profesorów; nawiązując do faktu, że młodzież uniwersytecka na prowincji jest tak bierna, nawołuje do umiejętnego używania jej. X. Śledziewski stawia za przykład Anglję, gdzie na prowincji tworzą się samorzutnie kwartety muzyczne, kółka amatorskie do czytania i grania Szekspira, bo Anglik mówi sobie: gdy chcemy panować nad światem, każdy z nas musi mieć w sobie dużo psychicznych możliwości. P. Romer-Ochenkowska: W epoce sportu nasz zjazd jest ocknięciem się intelektualizmu. P. Dubicki z Dukszt opisuje straszne zaoofanie na dalekiej prowincji; nie zachwyca się wiele t. zw. gwarą oszmiańczukową, która jest zlepkiem kilku języków, pełnym wyrażeń ordynarnych i okrutnych. P. Bułhak wyraża życzenie, żeby Izba Kultury nie miała posmaku „kulturtregerstwa". P. Rączaszek apeluje do czynników rządowych i samorządowych o poparcie. Poruszano jeszcze sprawy wspólnych prac etnograficznych, archeologicznych, teatralnych i t. p.

*

Jakie są szanse Izby? Jej założenie wymaga zapewne i zmian w konstytucji. W Sejmie zalega od kilku lat projekt Izby Pracy, wniesiony przez P. P. S. i poparty przez inne stronnictwa. Co zrobi Rząd z tym nowym fantem, który mu Wilno przedstawi w postaci projektu Izby Kultury?

Komitet wykonawczy Zjazdu wezwie do współpracownictwa także inne ośrodki kulturalne Rzplitej. Coprawda W. Ks. Wileńskie, to wyciągnięte ramię na wschód, ma specjalnie złe warunki, więc choćby w tym mniejszym zakresie należałoby otoczyć opieką ten ogienek szlachetnej i oryginalnej inicjatywy, jaki zapaliło Wilno.

K. I.

*) Komitet organizacyjny Zjazdu rozpisał był ankietę do działaczy kulturalnych na ziemiach W. Ks. Litewskiego, w której postawił im 8 pytań co do szans powodzenia przyszłej Izby Kultury. Ankieta zebrała wiele materjału szczegółowego co do lokalnych stosunków w różnych ważniejszych ośrodkach, jako to: ilu ludzi interesuje się nauką i sztuką, w jakiej formie przejawia sie to zainteresowanie, czy są odpowiednie sale, księgarnie, bibljoteki, jaka moze być frekwencja ewentualnych imprez kulturalnych i t. p. Ankieta rozpoczyna się mottem z dzieła L. Chwistka „Zagadnienia kultury duchowej w Polsce".

**) Mowa o środach literackich w wileńskim Związku Zawodowym Literatów (Ostrobramska 9) bardzo ożywionych i gromadzących całą elitę Wilna.

cros. 12442/2/46

ŻÓŁTY DOM

Wprawdzie przedstawione w powieści zostały dzieje trójkąta, nietyle małżeńskiego ile romantycznego, mimo to „Żółty Dom" nie jest romansem *). Oś tematyczna książki odpowiada najbardziej współczesnym tendencjom literackim. Autorka przedsięwzięła zobrazować wielkomiejskie środowisko proletarjackie i wysondować jego psychikę. Z artystycznego zamierzenia wynikły trudności natury formalnej i spowodowały wystąpienie na plan pojedyńczych postaci, związanych konfliktem osobistym. Ten konflikt jest błahy, co chwila się plącze i rwie, stanowi tylko pretekst konieczny dla poruszenia i utrzymania w ruchu wielogrupowego i wielościenicznego dramatu zbiorowiska. Historja miłosna obiegając kamienicę, łamiąc się w roztrząsaniach mieszkańców, budząc rozmaite reakcje — daje pisarce potrzebną więź formalną i przestając być celem dla siebie, służy do demaskowania i charakterystyki. Sam romans pozostawia wiele do życzenia, obfituje w nieprawdopodobieństwa i sytuacyjne i psychologiczne, przyczem autorka nie wysila się nad uprawdopodobnieniem wątku; jej uwaga skupia się gdzieindziej.

Kolektywne dramaty, mające za tło nie wieś i przyrodę, ale ciasne, kamienne pudło czynszowego domu, pojawiają się w literaturze coraz częściej. Zazwyczaj jednak naładowane są wybuchowemi tendencjami społecznemi, mają czegoś dowodzić, argumentować t. zw. myśl przewodnią, która istniała jeszcze przed faktem literackim. I stąd brakuje im pozornie beznamiętnej, ale istotnie dojrzałej bezstronności widzenia i epickiego spokoju.

Książka Grabowskiej stanowi w tej mierze chwalebny wyjątek. Wyczuwa się w niej szlachetną pasję, aby zobrazować życie i wyrazić je jaknajpełniej, jaknajprawdziwiej. Niema tutaj programowych ułatwień, ani gotowych wniosków, jest rzetelna troska o sztukę. I może dlatego udało się autorce wydobyć tyle patosu z powszechnej doli ludzi z nizin społecznych. Może dlatego, że ich osobisty tragizm nie został potraktowany jako manifestacja, jako pretensja i wołanie o przewrót. Tych ludzi postawiono twarzą w twarz z ich własnym losem. Cierpią wszystkie nędze swego społecznego — powiedzmy — upośledzenia, ale ich tragizm nie jest tylko tragizmem niedostatku. Jest tragizmem człowieka.

Umiejętność wyjścia poza perypetje pewnego poziomu materjalnego i zdolność widzenia niejako absolutnego szarej doli, czy raczej niedoli — oto znamiona powieści. Nie wynika stąd bynajmniej lekceważenie warunków tej egzystencji, która przecież urabia środowisko i decyduje o niem. Ale z pełnem zrozumieniem materjalnej strony wegetacji łączy Grabowska poczucie ponadsocjalnej ważności bytu.

„Żółty dom" obejmuje cztery pory roku. W ten sposób został osiągnięty pewien całokształt i podkreślona epickość utworu, autorka zaś zyskała możność wygrania całej skali efektów. Ze względu na brak jakichkolwiek plenerów — nie są to efekty estetyczne. Pora roku to w życiu wielkomiejskiej nędzy tylko zmiana temperatury. Grabowska z wymownym realizmem kreśli piekło głębokiego podwórza, zatopionego w wiecznej duchocie podczas smrodliwych skwarów letnich i ostrych mrozów zimy. W kołowrocie tych samych dni, w atmosferze ciężkiej pracy i surowego, choć swoistego obyczaju trwają i przemijają ludzie jej powieści.

Rzecz prosta, że portretując środowisko nie zdołała autorka wycieniować kreacyj psychologicznych, które są mocne, ale fragmentaryczne. Znamienne, iż w książce nie znajdujemy ani jednego typu męskiego, obok całej galerji szczęśliwie tworzonych typów kobiecych. Mężczyźni są tylko statystami mimo których, albo o których walczą kobiety.

Język rozbity na krótkie, parowyrazowe zdania, dobrze odpowiada migawkowym zdjęciom. Jakkolwiek napotykamy niekiedy pewną chaotyczność w opisie, podkreślić trzeba trafność i sugestywność niektórych scen. Pozornie niedbała relacja posiada czasem świetną wierność i dobitność zdradzającą nasilenie plastyczne wizji. Niemniej ten nerwowy rytm, zachowany niezmiennie, nuży, sprawia, że wątki się rwą, że im zbywa na płynność, że autorka stosując silne skróty często wyczerpuje się i ucina, milknie. Biorąc wszakże pod uwagę komplikacje formalne (potrzeba wieloplanowości, ciągłych zmian i nawrotów w opisie), uznać należy wybór tego typu prozy za odpowiedni i fortunny.

Powieść p. Grabowskiej jest interesująca. Wypowiada się w niej świat pracy i niedostatku nie od strony potrzebnych reform, nie od strony współczującego serca, ale niejako od strony samego siebie, od wewnątrz — autonomicznie.

Z. Kucharski.

*) **Marcelina Grabowska, „Żółty Dom".** Powieść, 1934. Warszawa. Rój.

W ANGLJI O POLSCE

Z literaturą polską zapoznaje czytelników angielskich m. in. doskonale redagowane czasopismo „The Slavonic and East-european Review". W doborze tłumaczeń znać rękę prof. Wacława Borowego, którego pobyt w Londynie i stosunki z wydawnictwem zaznaczają się dodatnio we wzmożonej ilości i wyższym poziomie „poloników" tego slawistycznego organu angielskiego. W ostatnich kilku rocznikach spotykamy wśród tłumaczeń takie pozycje, jak „Ojciec zadżumionych" Słowackiego, „Ad leones" Norwida, „Protesilaus i Laodamja" Wyspiańskiego, a więc rzeczy, mogące zainteresować publiczność angielską, zżytą ze Wschodem i kulturą klasyczną. Obok tego fragmenty z Tetmajera i Morcinka, dające obraz stosunków ludowo-regjonalnych, widzianych chętnie przez świat amerykański, stanowiący część czytelników pisma. W dziale artykułów obok oświetleń politycznych stosunków w Polsce, nie brak i rzeczy, dotyczących literatury, sztuki i muzyki. Sylwetki najwybitniejszych jej przedstawicieli: „Kochanowski" przez Bruchnalskiego, „Kasprowicz" i „Staff" przez Borowego, „Malczewski" przez Szydłowskiego — to jakby chronologiczny przegląd „gwiazd" kultury polskiej". Kończy je w ostatnim, świeżo wydanym zeszycie rzut oka na 15 lat literatury polskiej pióra W. Borowego, istotnie syntetyczny, choć niepozbawiony subjektywnych oświetleń. Stosunków literatury polskiej z zagranicą dotyczą artykuły S. Windakiewicza o „brytanomanji" Mickiewicza, J. Krzyżanowskiego o wpływie Waltera Scotta na literaturę polską i Z. Ciechanowskiej o wzajemnych stosunkach między Polską a Goethem. Interesująca praca O. Haleckiego zawiera niektóre nieznane szczegóły o stosunkach angielsko-polskich w przeszłości, a prof. R. Dyboski „ambasador kultury polskiej w Anglji" obrazuje z rozmachem „Kulturalne problemy nowej Polski". — Jak widać, ciężar informacyj spoczywa niemal wyłącznie na Polakach; pióra angielskie piszą o Polsce jeszcze rzadko i raczej wyjątkowo. Wypróbowana przyjaciółka Polski, Monica Gardner, ogłosiła studjum o powstaniu listopadowem w dramatach Wyspiańskiego, a niestrudzony George Rapall Noyes, prof. uniwersytetu w Kalifornji, należący zresztą do składu redakcji „The Slavonic Review" stoi na czele tłumaczy.

(z)

Począwszy od niniejszego numeru PION przechodzi pod nową redakcję. Z powodu nawału prac zawodowych oddał pan Tadeusz Święcicki mocny ster naszego tygodnika w ręce pana Włodzimierza Antoniewicza. Składamy panu redaktorowi Tadeuszowi Święcickiemu szczere i serdeczne podziękowanie za dotychczasowe pełne trudu, poświęcenia i zamiłowania prowadzenie pisma i za cenne wyniki dotąd osiągnięte.

Zarząd Towarzystwa Kultury i Oświaty

GENERAŁ KUROKI POLAKIEM

Pociechą ludów uciemiężonych lub nie znajdujących w swem położeniu warunków odpowiadających ich usprawiedliwionym lub nieusprawiedliwionym ambicjom, jest poszukiwanie swych potomków wśród znakomitych mężów innych narodów. Polacy chętnie dawali wiarę legendzie przypisującej polskie pochodzenie tryumfatorowi pierwszych bitew w wojnie rosyjsko-japońskiej, gen. Kuroki; w całej postaci Nitzschego nic bardziej Polski nie obchodziło niż jego pretensje do polsko-szlacheckiego pochodzenia. W znacznie większym stopniu i zresztą ze znacznie większem prawem rewindykacje takie uprawiają Żydzi, w czem w dodatku są wydatnie wspomagani przez antysemickich rasistów całego świata. Ostatnio p. S. J. Imber w książce „Asy czystej rasy" podał dość długi spis znakomitych lub znanych literatów, których piśmiennictwo polskie powinno, na podstawie kryterjów rasowych „zwrócić" Żydom. Dość obszerny, acz niezupełny ten spis, o chronologicznej rozpiętości od Klaczki do Napierskiego a pod względem hierarchicznym od Tetmajera i Boy'a do Winawera, wywołuje chwilami zdumienie a conajmniej wątpliwość.

Czy zachłanność p. S. J. Imbera, usprawiedliwiona u rasisty w stosunku do większości wymienionych przez niego literatów nie jest bezpodstawna w niektórych i to bardzo ważnych pozycjach spisu? Tak np. o pochodzeniu A. Langego wiadomo że był potomkiem oficera Wojska Polskiego; świadczy to w każdym razie o dawnem spolszczeniu tej rodziny, gdyż skok z ówczesnego ghetta do rangi oficerskiej nie zdarzał się codzień. W stosunku do niektórych literatów noszących niewątpliwie sarmackie nazwiska p. Imber przytoczy zapewne argument pochodzenia po kądzieli od frankistów; można mu odpowiedzieć, że przedewszystkiem już sami autentyczni potomkowie frankistów mało mają w żyłach krwi żydowskiej wskutek małżeństw mieszanych i prawdopodobnie nawet w Trzeciej Rzeszy ich wywód aryjski byłby uznany za wystarczający; powtóre wśród nazwisk frankistów spotyka się nazwiska pozatem należące do najbardziej pospolitych w Polsce: komu nie można wytknąć babki Grabowskiej, Dąbrowskiej lub Majewskiej a jakże drobna część ludzi tego nazwiska wywodzi się rzeczywiście od frankistów.

Co do Antoniego Słonimskiego sprawa przedstawia się inaczej, niemniej jest sporna. Ten niewątpliwy mieszaniec semicko-aryjski nie może być zwrócony Żydom, najwyżej salomonowym sądem rozcięty na dwie połowy. Którą będą rewindykować Żydzi? Jeśli wezmą feljetonistę, gotowi oszukać się zostawiając lepszą cząstkę — poetę w rękach polskich, jeśli wezmą poetę, feljetonowa połowa, w stanie czystej aryjskości, może stać się bardzo niebezpiecznym i bardzo zjadliwym ich wrogiem do czego już dziś ukazuje predyspozycje. Żadną natomiast miarą nie oddamy Władysława Broniewskiego jednego z najbardziej rasowych Polaków współczesności, choćby nawet on sam nie protestował i choćby jako argument zostało wzięte mające do niedawna powszechny obieg twierdzenie, że bolszewicy to Żydzi.

K. W. Z.

Odpowiedzi Redakcji

P. Wład. D. — Noweli „Janek i jego gwiazda" nie wydrukujemy.

P. K. B. — Z przekładu Huxley'a nie skorzystamy.

P. A. Gron. — Z przekładu Bunina nie skorzystamy.

P. Tad. M. N. — „Dziecko" drukowane nie będzie.

P. J. H.-P., Zakopane — Z „Pisarza i jego impresarja" nie skorzystamy.

P. St. Cz. Ostrzeszów — Z „Poezji społecznej" nie skorzystamy.

P. Henryk G., Warszawa, — Z artykułu o folklorze nie skorzystamy.

P. T. Szcz. — Nie skorzystamy.

P. M. Kr. — Z pracy o „krzyku" nie skorzystamy.

P. K. R. — „Wschód i Zachód" drukowany nie będzie.

P. Józef St. Cz. — „4 miljardów" nie będziemy drukowali.

P. Stefan L. — Poematu „Tragedje współcz. kult." drukować nie będziemy.

P. Józef K., Panki. — Z wierszy nie skorzystamy.

P. „Eugenja", Żółkiew. — Nie skorzystamy.

P. Edw. Szel., Warszawa. — Nie będziemy drukowali.

P. K. Ł. Les., Starachowice. — Nie skorzystamy.

P. B. Św., Leszno. — Nie skorzystamy. Ocen nie wydajemy. W wyborze kierujemy się tylko wartością utworów, a nie wyłącznie nazwiskiem.

P. Józef St., Warszawa. — Z wierszy nie skorzystamy.

P. Tad. N., Poznań. — Sonetu nie będziemy drukowali.

P. Tad. Fl. — Z wierszy nie skorzystamy.

KSIĄŻKI NADESŁANE

POWIEŚĆ, NOWELA

Leonidas Leonow — Złodziej. Tomy I i II. Warszawa. Rój. 1934.

Paweł Morand — Maks Kron kręci film. Warszawa. Rój. 1934.

Louis Golding — Ulica Magnoljowa. Tomy I, II i III. Warszawa. Rój. 1934.

A. Tołstoj — Eksperyment inż. Garina. 2 tomy. Rój. 1934.

PODRÓŻE

Marja Bochdan-Niedenthal. Ucayali. Raj czy piekło nad Amazonką. Z 38 ilustracjami. Warszawa 1935.

X. W. Kneblewski — U źródeł świętej Rzeki (Szkice z podróży po Palestynie). Dom Książki Polskiej. Warszawa.

Adam Wisłocki — Przez jeziora i rzeki Bracławszczyzny. Reportaż z kajakowej włóczęgi. 1934. Główna Księgarnia Wojskowa.

W nakładzie „WYDAWNICTWA WSPÓŁCZESNEGO"

wyszła i jest do nabycia książka

Cezarego Jellenty

SOSNY OTWOCKIE

Obraz miasta-uzdrowiska

z nieznanym wizerunkiem **Pierwszego Marszałka Polski** w otoczeniu oficerów legjonowych z czasów pobytu w Otwocku i wieloma ilustracjami.

Redakcja: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24-00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18—20. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się
Administracja: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21-44; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Konto. P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor: **Włodzimierz Antoniewicz** Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty **Juljan Zielski**

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10